

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Jerzy Bazarowski
Ludwik Berger
Krystyna Jazdowska
Stanisław Stroński
Janusz Wedow
Kazimierz Wierzyński
Tadeusz Zajączkowski

Vol. 3. Nr. 18 (123)

Nowy Jork, 6go maja — New York, 21. N. Y., May 6th, 1945.

Cena 20 ct.

Straszliwa potęga, która powstała przeciw chrześcijaństwu, która zapragnęła zburzyć cały wielowiekowy dorobek myśli i kultury, która podała w pogardę prawo i sprawiedliwość, wszystko co boskie i ludzkie — leży oto sama powalona wśród ruin, świadczących, że kiedyś były Niemcy hitlerowskie i że ich już nie ma.

Okrzyk zwycięstwa, okrzyk pomśczonej sprawiedliwości, krzyk prostującej się ludzkości, idący dziś przez świat cały jest też radosnym okrzykiem wydzierającym się z piersi każdego Polaka. W Polsce bowiem właśnie bezbożna, dziś powalona potęga dopełniła najstraszliwszego dzieła zniszczenia, w Polsce zostawiła najpotworniejsze ślady swych zbrodni, przeciwko naszemu narodowi zwróciła się z największą nienawiścią, w nim widząc słusznie nie tylko pierwszą przeciwko sobie zaporę ale i najbardziej po bohatersku broniącą się twierdzę wiary i ludzkości.

W chwili, gdy cały świat wolności wznosi okrzyk tryumfalny, gotuje się do dźwignięcia z gruzów, do gojenia swych ran, do nowego życia — ta właśnie twierdza nie ustępliwa, zlaną krwią sprawiedliwych, zasłana trupami rycerzy i męczenników nie tylko nie jest uwolniona, ale zajęta z innej strony przez inne bezbożne i nieludzkie siły.

I dlatego uczucie tryumfu, które Armja Polska i Naród Polski, tak zasłużone dla

zwycięstwa mają świetne prawo dzielić ze wszystkimi armjami wolności, ze Stanami Zjednoczonymi, z Wielką Brytanią i jej dominiami, z wszystkimi ludami, które cierpiały i walczyły naprawdę o wolność, dla prawdziwej wolności, uczucie czci dla poległych wszystkich narodów, wdzięczność dla żołnierzy sprzymierzonych i ich dowódców, mieszają się dziś w każdym polskim sercu z uczuciem krzywdy, domagającej się natychmiastowej naprawy, uczuciem niepełności zwycięstwa, z przeświadczeniem, że pokój trwały i świat lepszy nie nastąpią, jeśli Polsce nie będą zwrócone jej ziemie zabrane podstępem i jej wolność.

Na to aby zbudować świat lepszy nie wystarczy zasypać potwornych dołów, w Buchenwaldzie i Majdanku i ukarać śmiercią tych, którzy popełnili te zbrodnie.

Duchowi mroków, prawdziwemu szatanowi dziejów, dziś powalonemu w Niemczech, muszą być wszędzie na świecie przeciwstawione prawo i sprawiedliwość, miłość bliźniego i duch społecznej solidarności, duchowi Majdanka i Katynia — duch prawdziwego chrześcijaństwa.

Naród Polski, który pierwszy walczył o dziś obwieszczony zwycięstwo a który nie może z niego korzystać — wierzy, że ten duch wszędzie w końcu zwycięży i na tej wierze buduje swą pewność, że Polska powstanie znów cała, wolna i niepodległa.



Kawior i karabiny maszynowe

Pisząc o przyjeździe delegacji rosyjskiej do San Francisco, jako jeden z najbardziej smakowitych szczegółów tej sensacyjnej wizyty podały gazety wiadomość, że za panem Mołotowem jedzie statek pełen wódki i kawioru, które w wyobrażeniu amerykańskiem streszczają przepych i smaki rosyjskiej kuchni. Nie jest wykluczone, że wiadomość jest o tyle niepełna, iż poza kawiozem i "czystą", znajdują się na statku również różne rodzaje pierogów i blinów, kulebiaki i bez liku ryb wędzonych, a może nawet ów znany nam tylko z Gogola, legendarny "łabardan".

Niema tak zażartego wroga Rosji, któryby nie przyznawał kuchni rosyjskiej tego, co jej się należy; znamy ludzi zupełnie nieczułych na sentyment Czechowa, którzy delektują się przecież blinami z kawiozem i śmietaną, znamy Amerykanów notorycznie głuchych na Prokofjewa, którzy nie mogą się dość nachwalić delikatności wędzonego jesiotra wielu hałaśliwych wielbicieli Dostojewskiego w głębi duszy woli barszcz małorosyjski od "Braci Karamazowych" i wielu sławnych melomanów z Nowego Jorku przenosi w gruncie rzeczy kulebiaka z kapustą nad "Pietruszkę" Strawińskiego.

Pan Mołotow wybrał więc metodę propagandową, choć mniej wyrafinowaną, zdolną przecież przynieść sprawie rosyjskiej w Ameryce znacznie większe korzyści, niż coraz to nowe symfonje Szostakowicza, których od paru lat musieli nabożnie wysłuchiwać różni zupełnie niemuzycalni urzędnicy Departamentu Stanu i damy zakochane pocichu w pieśniach Sinatry.

Ta propaganda jest o tyle łatwiejsza, że Rosja posiada w tej chwili jednego tylko Szostakowicza, a natomiast ma bardzo dużo jesiotrów i jeżeli z trudem przyszedłoby jej wyprodukować nowego Prokofjewa, może wysmażyć tyle kulebiaków, ile ich potrzeba dla rosyjskiej polityki zagranicznej.

Metody, które pan Mołotow chce aplikować w San Francisco nie są zresztą nowe i, jak cała polityka rosyjska, stanowią, dziedzictwo czasów wskrzeszonych ostatnio przez Lubitcha w jego najnowszym filmie "The Royal Scandal". Tem samem, czem pan Mołotow chce zjednywać i olśniewać pana Stetiniusa i pana Edena głąskali podniebienia obcych ambasadorów carowie Wszechrosji; nie przypominamy sobie z historii co Piotr Wielki mówił przy okazji takich obiadów, ale przypuszczamy, że były to mniejwięcej takie same słowa jak te, które nieodżałowany major Cazalet usłyszał na obiedzie wydanym na Kremlu dla generała Sikorskiego, kiedy to po 16 daniach premier Polski oświadczył, że stanowczo więcej jeść nie będzie, na co "Słoneczko lu-

dów" powiedziało do towarzysza podającego do stotu: "Ubieraj astalnoje k'czortu".

Przewiezione w dyplomatycznych celach zagranicę beczki kawioru i połacie ryb wędzonych, kulebiaki i siomgi, bliny i sygi, pierogi z mięsem i kapustą świadczą mają nie tylko o zgodzie Rosji na międzynarodową kolaborację, o jej duchu współpracy i o szczerem sojusznictwie sercu. Celem przewozu owych smakołyków jest wzbudzenie wśród cudzoziemców przeświadczenia, że Rosja jest krajem powszechnego bogactwa i ogólnego szczęścia, że jeśli nie tak samo zupełnie, jak marszałek Stalin i pan Mołotow, to przecież proporcjonalnie do swej sytuacji ale równie świetnie jedzą i żyją wszyscy obywatele 16 republik, że życie ich jest równie wolne i szczęśliwe jak życie obywateli Stanów Zjednoczonych tylko, że kuchnia w Rosji jest lepsza. W obecnej sytuacji politycznej owe przysmaki wiezione do San Francisco mają być próbką dobrobytu i luksusu, który czeka Czechów idących za panem Beneszem, Jugosłowian, wyrzekających się króla Piotra i Polaków, wierzących że pan Osóbka jest prawdziwym demokratą.

Rzecz w tem, że nie wszyscy cudzoziemcy znają Rosję jak ambasadorzy aljanczy, tylko z bankietów na Kremlu i filmów propagandowych; istnieją narody całe, których los zmusił do wiekowego z Rosją sąsiedztwa i które wiedzą aż nadto dobrze co się stało w tym kraju wolności i co się dzieje teraz w domach rosyjskich w chwili, gdy marszałkowie czerwonej armji tłuką kieliszki na cześć zagranicznych gości, którzy wiedzą dobrze ile milionów niewolników sowieckich, nie tylko Polaków, ale Ukraińców, Białorusinów i Rosjan, umiera dosłownie z głodu, gdy pan Mołotow podejmuje kawiozem pana Stetiniusa jak pięć lat temu podejmował Ribentropa.

Przeciwny, Bogu ducha winny Amerykanin, patrząc na "pagony" generałów rosyjskich, na błyszczące na ich piersiach gwiazdy, czytając wykaz postraw, które pan Mołotow chce skłonić delegację amerykańską do uznania rządu Bieruta, czyż może wyobrazić sobie, że rząd który taki przepych jubilerski i kulinarny rozacza, jest to ten sam rząd, który z całą świadomością w celach politycznych zażądał w latach 1932-1933 sześć milionów Ukraińców! Ów poczciwy obywatel z New Yorku i Filadelfji, który nazywał się o polskich landlordach i przekonany jest, że premier Arciszewski bił haratem chłopów, a prezydent Raczkiewicz utrzymywał wielkie stajnie wyścigowe, czyż może wyobrazić sobie, gdy czyta o przepychu sowieckiej dyplomacji, że Rosja jest jedynym krajem na kuli ziemskiej, uchodzącym za cywilizowany, który wskrzesił

w najokrutniejszej swej formie niewolnictwo, w którym wielka część produkcji wojennej została wykonana przez niewolników? Czyż może uwierzyć, że w Rosji istnieje zakaz przenoszenia się z miejsca na miejsce i że niema prywatnego człowieka w Sowieciach, któryby mógł zajmować mieszkanie większe, niż dwa pokoje?!

Pan Mołotow czyniąc wszystko, aby przekonać nieświadomych i naiwnych o dobrobycie i wolności panujących w Sowieciach, mimowoli sam zdradził się z tem, jakie to życie jest w istocie, domagając się (jak doniosły pisma) do swego użytku na czas pobytu w San Francisco samochodu opancerzonego i eskorty innego wozu, zaopatrzonego w karabin maszynowy.

Pan Mołotow bierze najwyraźniej Amerykanów i przedstawicieli wolnych ludów zgromadzonych w San Francisco za ciemną azjatycką tłuszcę, otumanioną i zbitą knutem, jeżeli myśli, że ten samochód opancerzony i ta opieka karabinu maszynowego dadzą się w umysłach ludzi wolnych pogodzić z pojęciem wolności, jeżeli wyobraża sobie, że poruszając się w wolnym kraju tak, jak Hitler i Mussolini, może uchodzić za pogromcę totalizmu i szercyziela demokracji.

Jest bardzo prawdopodobne, że ostrożny komisarz sowiecki wytłomaczył przed Amerykanami tę swoją przezorność względami na rozszalały w Stanach Zjednoczonych "faszyzm" polski, który do wszelkich gotów uciec się środków, byle uniemożliwić polskim masom korzystanie z dobrodziejstw sowieckiej wolności. Już nieraz przecież w przeszłości "faszyści" polscy lub podmówieni przez nich "faszyści" cudzoziemscy przeszkadzali szerzeniu się rosyjskiej demokracji i pan Mołotow pamięta napewno o okrzyku Floquet'a, którym powitał w Paryżu tak zwanego "Cesarza Oswobodziciela: "Vive la Pologne, Monsieur!"

Pan Mołotow obawia się usłyszyć ten ironiczny okrzyk, bo wie on dobrze co się stało z dwoma milionami obywateli polskich, których Sowiety zagnęły na Sybir, wie ilu Polaków najszlachetniejszych, najbardziej ludzkich, zmarło z głodu, z zimna i od moralnych tortur, wie, co się stało z kilku tysiącami oficerów, których trupy odnaleziono w lesie katyńskim, wie ile dziennie pociągów wiezie z Polski na północ bojowników o wolność, bohaterów walki podziemnej przeciw Niemcom, wie jakimi środkami chcą Sowiety zmusić przywódców narodu polskiego, aby przystali na zgubę naszego państwa.

Pan Mołotow pamięta wreszcie, że linja, która rozdarła ciało męczzonej i bohaterskiej Polski, była wykreślona przez niego właśnie do spółki z najcy-

niczniejszym z ministrów Hitlera, że w chwili, gdy Polska pierwsza i jedyna walczyła z niemieckim totalizmem, to on, to pan Mołotow częstował rosyjskimi smakołykami Ribentropa i w chwili, gdy Niemcy tratowały Polskę, to on, to pan Mołotow powiedział publicznie z radością to samo, co Mussolini: "Państwo polskie przestało istnieć".

Pan Mołotow wie o tem dobrze, wszystko to pamięta i jeżeli jest pewny, że w wolnej Ameryce włos mu z głowy nie spadnie, dziwi się przecież napewno w głębi duszy, że w chwili, gdy jego, który 'ak pięknie parę lat temu mówił o zgodzie z Niemcami a tak brzydko o imperjalizmie angielskim, witają hymny wielkich demokratycznych narodów — żaden głos, jak kiedyś Floquet'a w Paryżu, żaden z pośród tylu wolnych ludów głos wolny nie podnosi się, aby dopomnieć się o krzywdę narodu co najbardziej nieulękle i najdłużej walczył o wolność świata. Pan Mołotow napewno nastuchuje tego głosu i może także tego okrzyku, którym w 1941 roku niewolnicy Rosjanie żegnali swoich — uwolnionych współtowarzyszy nieszczęścia — Polaków: "Nie zapomnijcie o nas".

Wielu najlepszej woli Amerykanów nie słyszało o tem nigdy, pan Eden udaje, że o tem zapomniał — ale pan Mołotow wie doskonale, że Suworow przeszedł przez Alpy, Aleksander I biwakował w Paryżu, a przecież potem Mikołaj I pobity był przez Turków, Kuropatkin przez Japończyków, Wielki Książę Mikołaj przez Niemców a Budienny przez Polaków, że więc żadne zwycięstwa rosyjskie nie są dowodem, iż Rosja jest potęgą, która może bezkarnie szantażować świat cały.

Pan Mołotow ma pełną świadomość tego, co by się stało z Rosją w tej wojnie, gdyby Ameryka nie przysłała jej z pomocą, gdyby nie jej materiał wojenny, nie jej Lend-Lease, nie drugi, trzeci i czwarty front amerykańskiej materialnej i wojskowej pomocy.

I dlatego, że wie o tem, komisarz sowiecki, przywozi okręt z wódką, aby wmówić w tak pragnące być oszukanemi demokracje, że Rosja niczego nie potrzebuje od świata, że może mu jeszcze coś odstąpić ze swojej wolności i ze swojego kawioru. Ale zarazem prosi o samochód opancerzony nie dlatego, aby bał się o swoje życie, ale dlatego, aby nie słyszeć okrzyku, który musi kiedyś zabrzmieć, jeżeli świat naprawdę ma być wolny, jeżeli pokój w San Francisco nie ma być grobem naszej cywilizacji: — "Long live Poland, mister Mołotow!"

STANISŁAW STROŃSKI

NAPRAWA NA GORSZE

(Dla "Tygodnika Polskiego" z Londynu)

Pocziwy stary już Traktat Wersalski, stanowiący trzon dzieła Konferencji Pokojowej w Paryżu z r. 1919 wraz z układami w St. Germain, Trianon, Neuilly i Sevres, nacierpiał się w ciągu dwudziestolecia do nowej wojny coniemiarą przytyków, narzekania i złorzeczeń. W miarę zaś jak wojna obecna ogromniała i szale jej wyników jęły się przechylać na rzecz narodów napadniętych przeciw napastnikom, coraz częściej i doniośniej powtarzano: o nie, tym razem nie powtórzymy błędów r. 1919. Hasłem światowym stał się nowy i lepszy ład, który wprowadzą zwycięskie Narody Zjednoczone.

A jakżeż to było, jest, i ma być, w rzeczywistości?

Z wojny poprzedniej wyłoniło się w środku Europy ośm państw niepodległych. Polacy, Cześci i Słowacy, Jugosłowianie tj. zarówno Serbowie jak Kroaci i Słowenci, Albańczycy, Litwini, Łotysze, Estończycy, odzili pod własnymi rządami. Liga Narodów powstała jako związek państw na postawach daleko posuniętej równości, gdyż w Zgromadzeniu uczestniczyli oni na tej samej stopie jednego głosu każde, a w Radzie oprócz pięciu wielkich mocarstw było jedenaście państw z wyboru, przyczem Zgromadzenie miało uprawnienia głosu i uchwał we wszystkich sprawach, które mi zajmowała się rada. Zasady prawa, sprawiedliwości i wolności, acz istniała świadomość, że nie zawsze w pełni osiągalne w urzeczywistnieniach, były jednak szanowane i przyświecały dążeniom, a jawne ich poniewieranie było zawsze wyzwaniem stanowczo zwalczanem.

Mówi się jednak stale, coraz głośniej i z wzrastającą złą wiarą, że cały ten ustrój międzynarodowy, zrodzony z ostatniej wojny, zawiodł zupełnie. Co jednak naprawdę zawiodło? Wcale nie zasady prawa, sprawiedliwości i wolności, lecz ustawiczne ich gwałcenie przez zwolenników bezprawia, siły i ujarzemia, i opieszałość obrońców tych zasad.

Natomiast z tej wojny kroi się już wyraźne zburzenie wszystkiego co było dobre po tamtej.

Państwa, które uzyskały wówczas niepodległość, Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Estonia, w znacznej mierze Finlandja, oraz kilka innych Bułgarja, Rumunja, Węgry, Austria dostały się już pod

władanie Rosji, które ciężą całą mocą niewoli. Jest to zjawisko, przytłaczające dziesięć narodów, sto milionów ludności, milion km. kw. obszaru, tak potworne, że nicpodobna go ogarnąć umysłem. Gdyby w chwili podjęcia przez Narody Zjednoczone walki o wyzwolenie Europy ktoś powiedział, że to tak będzie wyglądało, uważano by go za szaleńca, szydercę złością przepojonego, człowieka bez czci i wiary, co najlepiej wskazuje, że to co się teraz dzieje jest rzeczywiście nie mieszczącym się w uczciwych granicach szaleństwem, szyderstwem z prawa i godziwości, zdarzeniem bez czci i wiary.

Co więcej, zamierzony ustrój międzynarodowy pod nazwą Narodów Zjednoczonych, urąga wszelkim zasadom, pod których znakiem spychają wstecz. Celowo bowiem wyrzucono w Dumbarton Oaks nakaz poszanowania prawa i sprawiedliwości przyświecający na samym wstępie postanowieniom o Lidze Narodów. Jak prawo i sprawiedliwość, tak samo zarzucono i równość, tak iż o wszystkim co ważne rozstrzyga spółka pięciu a właściwie trzech państw, wszystkie zaś inne poprostu i najdokładniej nie mają głosu w zakresie postanowień.

W POPRZEDNIM 17 (122) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Stanisław Stroński: Jawne i tajne wszystko pogwałcone; Władysław Broniewski: Drzewo rozpaczające; Stanisław Baliński: Oschłość; Stefan P. Mierzwa: O książce Hermana Kesten'a "Copernicus and His World"; Wanda Bojczy-Babińska Zmartwychwstanie; Jan Lechoń: "Grupa Monte Cassino"; Wacław Solski: Ernle Pyle; R. W.: P. Liwski contra Dr. Liwski; Opinie i zdarzenia.

TYGODNIK POLSKI

is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription:

Monthly 80 cents

Half yearly \$4.80

Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Najdokładniej zapewniono, że na podobój świata nie zdoła wyruszyć Szwajcarja, ale nie śmiano i nie zdołano nawet zdźbła przeszkody położyć Rosji na drodze do wszelkich, jakich tylko chce podbojów.

W świetle tego potworka obłudnej, choć bezwstydną zarazem, pomysłowości z r. 1945 po raz pierwszy prostuje się dumnie zawalony pogardą kościotrup, t. zw. Świętego Przymierza z roku 1815.

A przecież nietylko w St. Zj. Ameryki od początku uważano szczerze t. zw. święte przymierze za spolite łajdactwo, ale także Wielka Brytanja szybko odwróciła się od niego.

Castlereagh, uczestnik Kongresu Wiedeńskiego, już w r. 1820 powiedział:

— Celem było uwolnienie Europy z pod panowania Napoleona, ale wcale nie było celem utworzenie władzy światowej, narzucającej się w wewnętrznych sprawach innych państw.

A Canning w r. 1922, sprzeciwiając się władztwu t. zw. Świętego Przymierza, wysunął trzy główne powody:

1. Naród Brytyjski nie chce spółki W. Brytanji z despotami w kierowaniu losami świata;

2. Mniejsze Państwa nie są dopuszczone do głosu w rozstrzygnięciach;

3. Wtrącanie się do spraw innych Państw jest przeciwne pojęciom prawnym angielskim.

Trzeba nazwać i dzisiaj rzeczy po imieniu.

Nowy ustrój międzynarodowy nie tylko nie zapowiada się jako lepszy od dzieła Traktatu Wersalskiego z przed 25a lat, ale zarysowuje się jako gorszy od dzieła Kongresu Wiedeńskiego z przed 130 lat.

NOWE WIERSZE WIERZYŃSKIEGO

LIST

*Montauk — koniec Long Island. Najbliżej do Polski.
Mgła gęsta, jak wodorost, ruchoma, po kostki.*

*Pustka na wielkiej tacy, na spłaszczonym kręgu.
Kran podniósł szyję z portu, śpi na widnokręgu.*

*Lecą mewy, coś krzyczą po mglistym suficie,
Czemu was nie rozumiem? Dokąd tak śpieszycie?*

*Na co czekam tu jeszcze, wciąż czekam i stoję,
Na to niedoczekanie ostateczne moje?*

*Zamknę ten list do flaszki i rzucę ją w morze.
Nie szukajcie rozbitków. Nic im nie pomoże.*

O NAGŁEJ BURZY

*Mgły się podnoszą, dymi parów,
Jakby kto z wielkiej dmuchał fajki
I puszczał kłęby na dnie jarów
Pod niebo z niezapominajki.*

*Na górskim zboczu zagajniki
Srebrem dygocą osinowe.
Już jest po wszystkim. Z burzy dzikiej
Znowu jest lato. Tylko nowe.*

*Jest lato inne. Może tamto
Na stoku, w łąkach, w prętach wina
Przy starym ganku... Skąd ja znam to?
Co mi się znowu przypomina?*

*Panięskie jaskry, mokre mlecze
I świeży wiatr pachnący polem...
Ach, jakże śmiesznie czas się wlecze:
— Wypogodziło się nad Skolem.*

*Niebo przetarło się w Dębinie
I wraca tu z owego lata,
Wetnista mgła warkoczem płynie
I mnie we włosy swoje wplata.*

*I wracam z nią powoli długo,
Mgły się unoszą, w górę biegną:
Nad czasem płynę dymną smugą.
Dokąd? Do wiatru przyjaznego.*

DO KSIĄŻKI

*• Zamknij się, zamilcz, jak leśna mogiła,
Którą się u nas napotyka czasem
Śród brzoź i sośnin. Chcę, żebyś tu była
Choć nas nie będzie. Las zostanie lasem.*

*Zamknij się, nie mów. Niepotrzebne słowa.
W ziemi się wszystko powoli uleży
I nawet prochy, jak wieść zagrobowa
Przemówią jeszcze. Zostań dla żołnierzy.*

JANUSZ WEDOW

W Apeninach rośnie młody świerkowy las

Kwatera Prasowa 2 Korpusu.
Włochy, w marcu.

I kto by to pomyślał, że w małym miasteczku górskim, które wyrosło kamiennymi domkami w samym sercu Apenin i przykucało u stóp olbrzymich grzbietów Mandrioli, w miasteczku, do którego spływa się dziesiątkami roztańczonych serpentyn gdzieś z pod samego nieba i przemokających obłoków — że w takiej zapomnianej przez świat dziurze znajduje się polskie gimnazjum?

Nie należy sądzić jednakże, że mieści się ono w jakimś reprezentacyjnym gmachu miasteczka, solidnej budowli o kilku piętrach, która zwróciła się szerokimi oknami w najbardziej uroczą dolinę rzeki Bidente, pełną zmiennych, krótkotrwałych bard, dolinę o podkarpackim pejzażu, i że roztopia na szybach mocne, surowe górskie słońce...

Zapewnie, mogłoby być i tak. Ale tu jest wojna i gimnazjum jest również wojenne. Roztasowało się po starych, chłodnych włoskich domach, po jakichś mieszczkańskich pokojach, pokojkach, zamienionych obecnie na klasy i gabinety. Na przykład sala konferencyjna, w której obecnie zasiała grono profesorskie, radząc nad postępowaniem swych wychowanków, poprawiając szkolne wypracowania i układając program lekcji, mieści się w byłej jadalni, pamiętającej jeszcze doskonale zapach "spaghetti con tomato" i rubinowy kolor przeświecającego przez szklanki "vino rosso", które zresztą w całej Romanji ma smak ciepki i zalatuje starą piwnicą.

Grono profesorskie... tu trzeba się przez chwilę zatrzymać. Miejscowi profesorowie zupełnie nie przypominają profesorów z tych czasów, które najsilniej zaciążyły na dzieciństwie i narastającej młodości. Tamci wychodzą czasami ze wspomnień szeregiem starszych, ciemno ubranych panów, błyskających surowym spojrzeniem z za szkielek okularów. Szczególnie często i najmniej oczekiwanie wychyla się nagle skądś szczupła, milcząca, groźna postać matematyka i staje ogromnym czarnym cieniem wprostek wspomnień o przedwojennej młodości.

Tutejsze ciało pedagogiczne obleczone jest w battle-dressy, mosi na rękawie — podobnie zresztą jak wszyscy uczniowie — karpackiego świerka, piastuje w większości wcale niewysokie szarże i robi w całości ogromnie miłe wrażenie. Matematyk — wysoki porucznik artylerii o pogodnym, uj-

muającym z miejsca uśmiechu — potrafi mówić o prostej i punktach, które mają z nią jakiś tam związek tak ciekawie i zajmująco, że geometria staje się nagle wcale przyjemną rzeczą. Drugi matematyk — młody podporucznik — w czasie gdy uczeń pracuje kredą na tablicy umie wprowadzić z równania taki kawałek, po którym aż szyby drżą w oknach. Profesor języka polskiego jest kapralem. Przed wojną wykładał literaturę w krzemienieckim liceum. Wgóle więcej jest tu pasków niż gwiazdek. I na pewno niecodziennie i bez precedensu są w wojsku takie obrazki jak tutaj, gdy naprzykład wywołany do tablicy kapral podchorąży — uczeń 1 licealnej — staje na baczność przed profesorem fizyki, który jest tylko starszym strzelcem. Ale to jest przecież gimnazjum i tak już musi być.

Jest właśnie przerwa między trzecią a czwartą lekcją. Na rynek miasteczka wybiega z kilku sąsiednich domów tłum młodych żołnierzy. Robi się nagle gwarnie, hałaśliwie, wesoło. Przerwa absolutnie niczem nie różni się od przedwojennych pauz, w czasie których na podwórzach gimnazjów było jak w ułu. Tu również aż huczy młodością i życiem. Zresztą jest to zupełnie naturalne. Gimnazjum, bez względu na to gdzie by nie było i w jakich znajdowało się warunkach, ma swoją specyficzną, jedyną atmosferę, swój własny koloryt, swoje niepisane prawa i odrębne życie. Tak jest i tutaj. Ale zato uczniowie — mój Boże, tego nie można zobaczyć nigdzie, na to trzeba przyjechać w ten polski kąt Apenin, gdzie zniszczone przez wojnę drogi opadają na łeb na szyję z ośnieżonych szczytów, gdzie słońce wychodzi na niebo bramami przełęczy, gdzie wieczorami góry oddychają szelcstem drzew, gdzie słychać huk spadających głazów i gdzie gwiazdy tańczą między krawędziami grzbietów — najsrebrniej, najżywiej, melodyjnie...

Tu właśnie rośnie, szumi, dojrzewa ten młody, polski, świerkowy las. — Przyszli tutaj bodaj że z całego świata, ze wszystkich dróg i szlaków, którymi szedł żołnierz polski od września, na których walczył, zwyciężał i ginął. Są między nimi młodziaki, których Niemcy porwali z domów i przemocą wcielili do szeregów Wehrmachtu, a którzy po najróżniejszych przygodach, często jakichś zupełnie nieprawdopodobnych, filmowych przygodach znaleźli się w Kompusie. Jest wielu takich, którzy walczyli już w Libji i we Włochach.

Wielu ma na piersi baretki krzyży bojowych i gwiazdki za rany. Wszyscy ci młodzi uczniowie są żołnierzami dywizji "Karpackiej". Z pod Cassina, Ancony, linji Gotów, Apenin, Żołnierz, który z niejednego już pieca jadał chleb, żołnierz, który dojrzcwał w walce, w ogniu, żołnierz, który niejednokrotnie już dowodził i zwyciężał.

Ale w tej chwili wybiegli na ten rynek włoskiego miasteczka, w zdrowe górskie słońce tłumem wesołym, gwarnym, sztubackim. Wojnę pozostawili na przeciąg kilku miesięcy samej sobie. Nie dociera tutaj do nich, w ten zamknięty górami i niebem zakątek ciszy i głębokich, chłodnych nocy, powieszonych między szczytami. Nie słychać tu nawet pomruku dźwięku. Jest cicho. Ostry wiatr pachnie czasami żywicą: lasami Czarnohory. W popołudnowej, słonecznej ciszy książka mówi wyraźniej, prościej, zrozumiale. Nauka nie jest tu obowiązującą koniecznością, odwaleniem programu dnia. Jest zesrodkowaniem całej energii, najlepszych chęci, jest pasją. Starają się wszyscy zużytkować te wydarte wojnie i walce miesiące jaknajlepiej, nauczyć się ile tylko się da i zarobić uczucie na "małą maturę". Tutaj do nauki nie trzeba nikogo poganiać — tu chwytają się ją, jak młode płuca chwytają w oddechu to świeże, górskie powietrze — szeroko, mocno, do dna.

Nie jest to pierwszy kurs gimnazjalny w dywizji "Karpackiej". — Przed rokiem, już we Włoszech, cały szereg żołnierzy dywizji otrzymało "małe matury", które w konsekwencji umożliwiły im ukończenie Szkoły Podchorążych. Dywizyjny Referat Oświaty — którego kierownikiem jest przedsiębiorczy kpt. K., pełniący równocześnie funkcje dyrektora tego wojennego gimnazjum — czyni wszystko, aby umożliwić jaknajwiększej ilości żołnierzy, którzy odpowiadają tylko warunkom stawianym przez normujący te sprawy regulamin, kontynuowanie przerwanej przez wojnę nauki i otrzymanie świadectwa dojrzałości lub conajmniej "małej matury".

W gimnazjum dywizji "Karpackiej" uczy się w obecnej chwili blisko 400 uczniów-żołnierzy. Część z nich przyjęta została na podstawie świadectw, jakie posiadali jeszcze z Polski, inni zdawali egzaminy sprawdzające zasób posiadanych przez nich wiadomości i to decydowało do której klasy zostali zakwalifikowani.

Gimnazjum posiada po kilka oddziałów klasy drugiej, trzeciej i czwartej, oraz 1szą klasę licealną. Program oparty jest na systemie polskim. Gimnazjum posiada kurs ogólno-kształcący, natomiast liceum jest typu matematyczno-fizycznego. Grono nauczycielskie składa się z fachowych sił, które wykładały jeszcze przed wojną w polskich gimnazjach i liceach. W gimnazjum nie stosuje się jakiegos specjalnego rygoru wojskowego, jakiejś koszarowej dyscypliny. Przed południem lekcje trwają od 5 do 6 godzin, a po przerwie obiadowej obowiązuje nauka własna, przyczem częste są wypadki, że profesorowie zbierają w którejs z klas uczniów słabszych w danym przedmiocie i pomagają im w przygotowaniu lekcji — obejmując w tym czasie niejako rolę korepetytorów.

Duży nacisk położony jest na wychowanie fizyczne i sport. W godzinach tych odbywają się zaprawy lub gry sportowe, lub też wycieczki w góry, połączone z krótkimi pogadankami z zakresu geografii czy też geologii.

Przedmiotów jest dużo, w każdym razie nie mniej niż w polskich gimnazjach przed wojną. Obowiązkowym językiem obcym jest angielski. W rezultacie uczniowie wyższych klas mówią już zupełnie niezłe tym językiem, a z drugiej znow strony obaj nauczyciele angielskiego odkomenderowani do szkoły z armji brytyjskiej, opanowali zadziwiająco język polski, łącznie z gwara żołnierską i słownikiem "wyrażen operacyjnych". W godzinach popołudniowych są również nadobowiązkowe lekcje włoskiego. Kandydatów jest spora liczba, ale większość, zdaje się, bierze lekcje zupełnie prywatnie i ogromnie chwali sobie zdolności pedagogiczne młodych nauczycielek.

Wszyscy profesorowie gimnazjalni są zgodni w jednym: nigdy nie mieli tak łatwej, przyjemnej i tyle satysfakcji dającej pracy, jak w tym wojskowym gimnazjum.

"Miło jest pracować" — powiedział jeden z profesorów — "gdy widzi się tyle dobrych chęci, tyle entuzjazmu do nauki, kiedy dostrzega się na każdym kroku tyle rzetelnego wysiłku."

"Tu nie ma wcale tych problemów, jakie istniały w Polsce. Młodzież pracuje z całych sił, po żołniersku — to jest naprawdę wyjątkowe gimnazjum".

I trudno mu nie wierzyć!

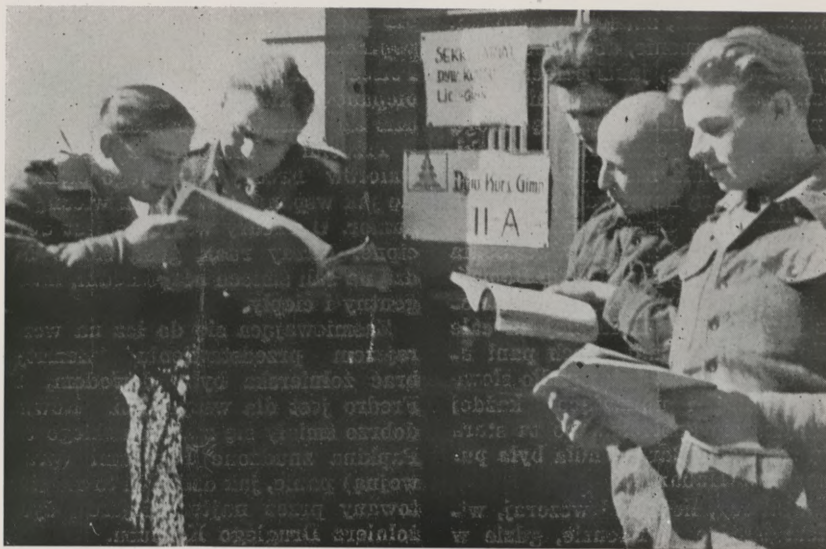
Kto by sądził jednak, że ci młodzi chłopcy, którzy widzieli już niemało tragedji, którzy wiele razy zaglądali śmierci w oczy, którzy przeżyli w ogniu bitwy niejedną kryzys psychiczny, że chłopcy ci nie potrafią już narzucić gimnazjum tego jedyne w swo-

im rodzaju sztabackiego temperamentu, tej atmosfery szkolnych kawałów i zdrowego młodego humoru, — pomyliliby się ogromnie.

Tu panuje naprawdę gimnazjalna atmosfera. Tu drga, kipi, przelewa się młodość i nurt szkolnego życia. Są i kawały — może tylko bardziej dorosłe" i inteligentniejsze niż było to dawniej. W każdym razie bardziej przemyślane i stąd często... złośliwsze,

— matury. Uczniowie pracują ze zdwojoną energią, tutaj nie można pozostać "na drugi rok". Poto czynili wszystkie starania, poto tu przyszli, by wrócić do oddziałów z maturą. To jest obecnie najbliższym ich celem, to jest w tej chwili największą ich ambicją.

Każdy z nich zdał już raz swój bodajże najcięższy, najtrudniejszy w życiu egzamin. Ten, który trzeba by-



Szkola w Dywizji Karpackiej

oczywiście w sensie raczej pozytywnym.

"Kawały? Ależ oczywiście" — odpowiada polonista — "ciągle robią różne kawały. Ot, ostatnio wymalowali mnie na tablicy jako Reja. Karykatura, że proszę siadać..."

Zbliża się powoli okres końcowych egzaminów, nadchodzą dni największego wydarzenia w życiu gimnazjum

to zdawać w ogniu walki, na polu bitwy. Egzamin, który przyniósł im imię dobrego żołnierza. Więc napewno i ten egzamin szkolny, który czeka ich obecnie zdadzą nie gorzej. Bo są ambitni, uparci, świadomi wartości tego, czego chcą dopiąć.

Są jak młody, świtkowy las: rosnący mocno, śmiało i szumnie w niebo, w słońce, w przyszłość.

KRYSTYNA JAZDOWSKA (SAO PAULO)

*Nie będzie tak, choć padnie tysiąc słów,
Choć cały świat utopi się w bezwstydzie,
Zostanie nam strzelecki w ziemi rów,
Legjonów cień przez noc samotną idzie...*

*Nie będzie tak, choć serce dławi lęk,
Choćby się los przeciw nam zwrócił, wrogi,
Słychać przez noc, Brygady marsz i jęk,
Z nad wszystkich łez, z nad wszystkich naszych mogił...*

*Nie będzie tak, choć zginie każdy z nas,
Przeszłości moc w skrważonej drzy legendzie,
I szumi w snach powstańczy, błędny las,
Nie będzie tak, przynigdy tak nie będzie...*

JERZY BAZAREWSKI

FREDRO W DRUGIM KORPUSIE

KORESPONDENCJA WŁASNA "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Ostatni raz widziałem Fredrę w Iraku, nad spokojnym jeziorem w Habanji. Wtedy nasz Teatr Dramatyczny dawał "Damy i Huzary". Publiczność szalała z radości, publiczność była urocza, bo brała przeważnie wszystko na serjo. Pamiętam, że gdy piękna Jasia Jasińska, ząkóchana młódka, ukazała się na scenie, aby się spotkać z wybranym serca, jakiś pelociarz (w Habanji stały peloty o czym nie wszyscy na świecie wiedzą) pałając srogą nienawiścią do podstarzałej ciotki, która nie chciała szczęścia pani Jasińskiej, a którą naprawdę była w życiu prywatnym, Bogu ducha winna, moja towarzyszką z czasów więzienia w Baranowiczach, pani Jadzia Domańska, kierowniczka teatru, ten to pelociarz krzyknął do Jasińskiej na całego: "Proszę pani, niech pani ucieka, bo ja stara... tutaj padło słowo nieprzyzwoite i ubliżające każdej szanującej się kobiecie... bo ta stara panią zdradzi". Bardzo miła była publiczność w Habanji.

Ostatni raz, licząc od wczoraj, widziałem Fredrę w Faenzie, gdzie w miejscowym, szczęściem nie zniszczonym teatrze, Teatr Dramatyczny Korpusu dał któreś tam przedstawienie "Zemsty".

Tym razem publiczność powstrzymała się od dosadnych ostrzeżeń. Ani razu nikt nie uprzedził Wandy o niczem, ani razu nikt poza samym Fredrą nie położył na rękę pięknemu Wacławowi. Mimo to przedstawienie stało na bardzo wysokim poziomie: ci którzy dotąd "Zemsty" nie widzieli, mogą tylko szczerze tego żałować.

Fredro jest naprawdę nieśmiertelny. Jest w jego komedjach coś, co nie pozwoli im chyba nigdy się przeżyć. Jest w języku wielkiego żołnierza i zawadjackiego magnata coś, co równie dobre, równie niedoścignione będzie chyba za lat sto jak jest dzisiaj. Niezależnie od wartości teatralnych komedji tego pisarza, słowo Fredry każe nam dzisiaj jak chyba nigdy dotąd w historii naszego narodu upajać się nim. Polszczyzna byłego żołnierza napoleońskiego będzie poprzez wiele jeszcze pokoleń, źródłem naszych upojeń i jedną z podstaw trwania naszego języka.

Cechy polskiego charakteru, mogą zniknąć dopiero wtedy, gdy zniknie naród. Ponieważ Naród Polski jest nieśmiertelny, te cechy trwać będą wiecznie. Nieustępliwa, porywczą szlachta, fredrowska zawsze skorzy do korzystania z szabli bohaterowie,

na których naiwna jak dziecko żołnierska publiczność patrzy z przyjazną podziwłością, to przecież ludzie z których ześmy wyrosli, których cechy przejęliśmy. Bóg raczy wiedzieć jakoby wyglądała Polska, w trzydziestym dziewiątym roku, gdy rzucili się na nią Niemcy, gdyby, w epokach grubo poprzedzających naszą nie było w Polsce ludzi gatunku narwanym sobiepanów, kłocących się o śmieszne azys zagadnienie: mur graniczny.

Trzecim i ostatnim z głównych walorów Fredry, jest jego piemiący się jak wspaniała rzeka na wiosnę — humor. U Fredry wszystko jest aowcipne. Każdy ruch, gest, słowo budzą na sali śmiech bezpośredni, inteligentny i ciepły.

Zaśmiewająca się do łez na wczorajszym przedstawieniu "Zemsty" brać żołnierska była dowodem, że Fredro jest dla wszystkich. Równie dobrze śmiały się z Dyndalskiego czy Papkina znudzone Paryżami (przed wojną) panie, jak dziś robi to ukształtowany przez najtrudniejsze życie żołnierz Drugiego Korpusu.

Zabierając się do nieśmiałyłch uwag o grze poszczególnych aktorów wczorajszego przedstawienia, należy w pierwszym rzędzie uchylić, mówiąc językiem cywilnym — kapelusza przed reżyserem p. Belskim, który był nie tylko doskonałym Rejentem, ale debiutując w naszym Teatrze Dramatycznym jako reżyser, od razu pokazał talent, po którym będziemy się odtąd spodziewać innych świetnych przedstawień. Wszystkie charaktery komedji, postawione były zardzo inteligentnie i z ogromną wnikliwością. Najmniej efektowna w "Zemście" rola Wacława, tym razem okazała się naprawdę czółową. Oczywiście Wacław jakiego wczoraj widziałem w Faenzie, nie był takim tylko dlatego, że zatroszczył się o to re-

żyser. Niedawno przybyły do teatru, młody jeszcze barzo i o doskonałych warunkach zewnętrznych p. Zbigniew Korab-Łobodziński (przed wojną aktor warszawskiego teatru "815"), o kazał się doskonałym nabytkiem. Już dawno nie słyszałem Polaka, mówiącego po polsku z tak nieskazitelną dykcją. Wczorajszy Wacław — udał się, że użyje języka jędrnego — na sto dwa. Wydaje się już w tej chwili, że jeśli p. Łobodziński będzie nad sobą pracował w dalszym ciągu z równą dotychczasową gorliwością, może zajsc w teatrze dramatycznym bardzo wysoko.

Ale, właściwie należało zacząć od pań. Więc: podstolina, p. Klara Belska nie zawiodła. Pamiętam ją z "Dam i huzarów". Tam była świetna. Wczoraj pokazała wielką klasę rasowej aktorki. Podstolina w jej wykonaniu może wyjść na scenę w dobrym przedwojennym polskim teatrze. — Klara, w wykonaniu uroczej p. Wandy Baczyńskiego napelniła serca patrzących żołnierzy nie zawsze może bezpiecznemi dla wykonawczyń uczuciami.

Goszczący od niedawna u nas p. Winawer grał Cześnika. Ekspresyjny i dynamiczny od pierwszej do ostatniej sceny stosunek tego aktora do odtwarzanej roli, dał świetne rezultaty. Pamiętamy jak z rolą Cześnika bywało w Polsce. Wówczas reżyser zawsze miał aktorów do wyboru, ale i wtedy trzeba się było bardzo często nagłowić, żeby odpowiedniego aktora znaleźć. Ostatnim Cześnikiem jakiego widziałem, był już podczas litewskiej okupacji w Wilnie, Chmielewski. P. Winawer w niczem mu wczoraj nie ustępował.

Dyndalski w wykonaniu utalentowanego Kazimierza Utnika był, jak to się mówi, jak żywy.

Papkina grał Hugon Piesch-Krzyński. Tutaj niestety nie było najlepiej. Może rola nie "leżała" poprostu w charakterze talentu aktora. Może jej wyszlifowanie jest sprawą czasu?

Bardzo dobrze spisali się w małych rolach murarzy pp. Bożyński i Karpowicz.

Przedstawienie poprzedził krótką biografją Fredry p. Bożyński.

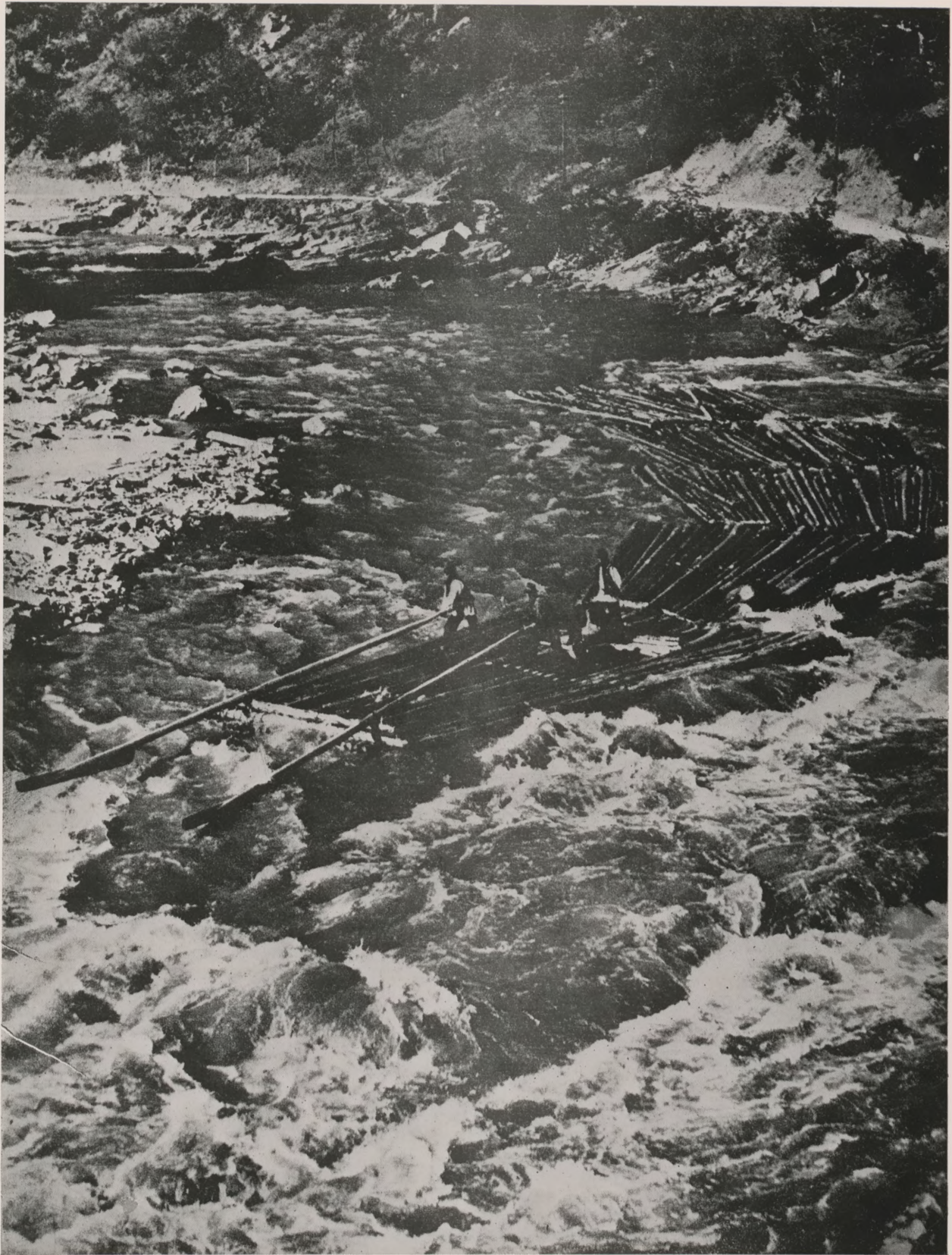
Żołnierze opuszczali teatr pełni uzasadnionej radości.

To jest chyba dla aktorów największa pochwała.

Kostjumi i dekoracje art. mal. Ludwika Wiecheckiego — jak zawsze bardzo pomysłowe i ładne.



K U P U J
B O N D Y
W O J E N N E



CZEREMOSZ

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

NAD WILJĄ I WILEJKĄ

Z Żubrami poznałem się bliżej jesienią 1939, kiedy opadające wiry wrzesnia wyrzuciły mnie na ciemne uliczki Wilna.

Zewnętrznie miasto przedstawiało wtedy widok dziwaczny, ponury i niesamowity.

Po brudnych, zaśmieconych ulicach przewały się szaro-bure tłumy "oswobodzicieli" odurzonych zdumiewającym luksusem za jaki uznali normalny dostatek skromnego europejskiego miasta.

"Woiny" ucztowały od wczesnego rano do nocy po restauracjach i kawiarniach, budząc zdumienie niezliczonych autochtonów zarówno zachłannością apetytów jak i niewidzianymi tu nigdy przed tym formami i sposobami jedzenia.

Całymi dniami kryte samochody ciężarowe wywoziły na wschód wszystko, co się dało wywieźć ze sklepów, składów i fabryk wileńskich. Naładowane ciężarówki jechały na Mińsk, Psków i Moskwę; spowrotem wracały puste, ale za to zaopatrzone w wielkie tablice: "pomoc głodującej Litwie". Wilno bowiem w tym czasie zostało wspaniałomyślnie podarowane Republice Litewskiej.

W niczym to nie zmieniało stanu faktycznego, bo jak mi się zwierzył kiedyś pewien "komandir", którego czujność komunistyczna była zdradziecko przyemiona burżuazyjną "żubrówką" — "to wszystko jedno, jak się będzie nazywać "obłaść", skoro miasto tak czy inaczej znajdzie się w wielkim związku radzieckim!"

Ale formalnie Wilno należało do Litwy.

Świadczyły o tym tabliczki z litewskimi nazwami ulic i rosłe, odpasione policjanty w wysokich czerwonych szkopkach na głowach, z racji której te ozdoby ludność wileńska nazywała ich "kałakutasami", co po litewsku znaczy: indyki.

Praktycznie działalność kałakutasów sprowadzała się do zdzierania z czapek uczniów wileńskich orzełków i do bicia chłopaków, zaciekle broniących tych ubogich resztek symbolów Państwa Polskiego.

Poważniejsze czynności policyjne wykonywał kto inny. Co noc zajeżdżały przed domy wybranych Polaków ciemne limuzyny, z których wysiadali uzbrojeni po zęby przedstawiciele N. K. W. D.

Wszystko co zalatywało polskością, było starannie badane, segregowane i przeważnie wywożone. "U nas ziemi i roboty mnogo" — mówił ze złośliwym uśmiechem dobroduszny brat



Tadeusz Zajęczkowski

słowianin — "a Sibir toże ruskaja ziemia".

Polacy zaś ściągali do tego Wilna ze wszystkich stron. Codziennie rano widziało się nowe twarze, co nocy przez kordony nowych granic przemykały się dziesiątki i setki postaci.

Wracali żołnierze z rozbitych, nieistniejących już oddziałów, płynęli uchodźcy ze wszystkich dzielnic Polski.

Serdeczne miasto witało ich ciche mi łożami, dzieliło się ostatnim kęsem chleba i każdego przytuliło pod dachem niskich dworców nad Wilją i Wilejką.

Żołnierze często rannych, zawsze znużonych śmiertelnie tygodniami walki i tułaczki, ukrywano starannie, leczono i pielęgnowano. Dla uchodźców znajdowano bezpieczny kąt.

W tych czasach można było jeszcze przez Litwę, Łotwę i Estonję wydstać się na Zachód. Więc ciągnęli do Wilna ci, którzy mieli widoki na uzyskanie wiz potrzebnych i biletów na statki i samoloty. Wilno dawało im przytułek, pomoc i opiekę, ale do ich zamierzeń emigracyjnych odnosiło się negatywnie. Bywało, że taki przybysz po załatwieniu spraw w Kownie, oczekując na termin wyjazdu, zainteresował się grzecznie losami swego gospodarza. "No, a Pan, drogi Panie, kiedy pan zamierza się ruszyć". Zdu-

miony Wilniuk otwierał szeroko oczy: "Ja? a poco ja mam wyjeżdżać? je jestem u siebie w domu.. Ot, jak wywiozą, wtedy i wyjadę..." — mówił dodając zapewne w duchu, że takich słów "nawet słuchać hadko".

Co innego, gdy wyjeżdżającym był żołnierz, szukający drogi do Francji, do wojska. Tych szybko i sprawnie przerzucając od punktu do punktu dostawiano w miejsca bezpieczne. Z nimi też poszedł niejeden wilanin.

Ale te sprawy poczęły rozwijać się dopiero później, kiedy Wilno, ocknąwszy się z odrętwienia, zaczęło tętnić myślą i pracą świadomą.

W pierwszych tygodniach miasto trwało w bezruchu, zdrętwiało z przerażenia, pod nieoczekiwanym ciosem skamieniało ze zgrozy.

I może dlatego, właśnie, że katastrofa spadła tak nagle, dlatego, że fala stepowych koczowników zalała zbyt gwałtownie osiedla ludu zadomowionego w prawie i pracy na własnym kawałku ziemi, nigdy różnica tych dwóch światów nie biła tak rażąco w oczy.

Z początku świat polski, świat osiadły kultury chrześcijańskiej, prawa i sprawiedliwości, zamarł jakoby sparaliżowany ogromem grozy tego co się stało.

Stepowy najeźdźca, koczownik z niezmiernych przestrzeni rosyjskich, nie znający ani granic swego kraju, ani żadnej więzi prawnej czy organizacyjnej, poza bezwzględną wolą swego bezpośredniego pana — dziesięć, pięćdziesiąt, czy kilkaset — wszystkim jedno, czy do pracy tam w kołchozach i kombinatach Eurazji, czy na dalsze niepotrzebne mu podboje w Europie) — rab, od wieków gnący kark w jarzmie największej tyranji, napawał rolnika wileńszczyzny przerażeniem, był obcy i wstrętny.

A u niego zaś, u tego ptepienca z bezbrzeżnej tiamy rosyjskiej, widok spokojnego, osiadłego człowieka, żyjącego według zasad moralnych, rządzącego się normami prawa i sprawiedliwości — budził przędwzyszkciem uczucie żydrości. Następnie wzbierała fala roztkliwienia i litości — nad sobą. "Biedny my, nieszczęśliwy naród" — biadały pijane bojcy — "ot, jak ludzie żyją! my co? Okłamały nas, otumaniały przeklęte komisary jak bydło my żyli, jak zwierz dziki.."

Ale wnet pojawiało się N.K.W.D., a z nim ostrzeżenie i kajanie się. Rab moskiewski podcięty knutem poganiacza, powracał do swojej ponurej rzeczywistości. I na odmianę ział niena-

wiścią. Potępieniec skazany na wieczne piekło Rosji, jedyne pocieszenie dla siebie znajdował w niszczeniu, w zadawaniu cierpienia innym.

W tych pierwszych dniach, które wydawały się być zmorą senną, Wilno trwało jak w letargu, rzeczywistości nie świadome, zrozumieć jej nie zdolne i nie chcące.

Zamarłe domy patrzyły niewidzącym, ślepym, szklwym okiem na bure szynele, na pośpieszną ruchliwość zgłodniałej dzicy, załapującej co się da z zakazanych rozkoszy "burżujskiego" życia.

Pozorna pustka domów, cichość dworaków po Antokolach i Zarzeczach wrośniętych w ziemię, ukryła w swem wnętrzu ludzi niezdolnych w żadnym uczuciu znaleźć ujścia dla grozy przytłaczającej ich serca, wyzwolić się z hipnozy koszmarnego snu, jakim wciąż wydawała się im ta rzeczywistość, tak niespodziana i zdumiewająca, że wciąż nie do wiary.

Ten stan katalepsji zbiorowej nie mógł trwać przecież długo.

Pod falą wschodniej dzicy, która brudem i chamstwem zalała ulice Wilna, biło serce polskie, płynęła polska krew, istniał lud polski.

Pierwszym odruchem uczucia i wiary zwróciło się miasto tragiczne ku Bogu, Kościołu w tych czasach były przepelnione jak nigdy. Modlono się żarliwie. Modlono się kornie i zachłannie. Jak niegdyś, przed wiekami ten gród kresowy potylekroć w dziejach ogniem i mieczem doświadczony, w godzinach klęski oddawało się w opiekę Panu, tak i teraz lud wileński, w ustach którego zdawna katolik to Polak oznacza, szukał ratunku u stóp Krzyża, chronił się przed pożogą mongolską pod puklerzem wiary i modlitwy.

Gdy kapłan kończył Ofiarę i zegnał wiernych krzyżem i słowami: "ite missa est" w wypełnionym po brzegi kościele nikt się nie ruszał.

Tłum stał zwarty i oczekujący, aż nagle wybuchał, niczem szlochom potężnym, pieśnią jednogłośnie, chorałem bijącym pod strop świątyni: — "Boże coś Polskę przez tak liczne wieki..."

W każde święto we wszystkich kościołach Wilna płynęła przed ołtarze ta pieśń — wołanie o ratunek jedyne, o pomoc ostatnią...

Którejś niedzieli listopadowej, mrocznej i zimnej, zasnutej dżdżem i smutkiem, stałem w zbitym tłumie na mszy w Katedrze. Z nadmiernej ilości policjantów, z obecności licznych twarzy obcych, drabów rosyjskich o ołowianym spojrzeniu i sękatych pięściach, widać było wyraźnie, że szuku-

jesię tutaj "grubsza robota". Widziałem to i rozumiałem nietylko ja: uświadomiali to sobie wszyscy.

Może dlatego po ostatnich słowach celebransa chwila ciszy była dłuższa, bardziej uroczysta. A potem, jak zwykle, buchnęła pieśń. Doże coś Polskę...

Było to hasłem dla zbirów. Na barki, na głowy, na twarze śpiewających posypały się razy. Trysnęła krew. Tłum się zakolysał, zwał — i śpiewał dalej. Zbici, maltretowani ludzie rzucali skrwawionymi ustami słowa — przypomnienia, słowa-nadzieje do stóp Tego, który przecież niegdyś ich naród "otaczał blaskiem potęgi i chwały".

Przez rozwarłe naciężaj drzwi kościoła oprawcy wywlekali modlących się na plac, by tam dokończyć masakry.

I wtedy w szare niskie niebo beznadziejnej polskiej jesieni 1939 roku uderzył ostatni akord: "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!"

Tak długo trwać nie mogło. Zbyt silna była tu polskość, zbyt prężna, zbyt żywa. Wkrótce po niskich pokojkach, po dworakach w ziemię wrośniętych na Antokolach, Zwierzyńcach, Pośpieszkach i Wilczych Łapach zaczęły zbierać się gromadki rozbitków. Odradzała się myśl twórcza, wola świadoma, stawał się czyn męski.

Poszli kurjerzy do Warszawy i Lwowa. Nawiązano kontakty organizacyjne, scalono wysiłki. Pieczętka rządu narodowego z powstania 1963 roku zaczęła znów działać. Hasło Pilsudskiego — idź i czyń — znów rozległo się echem po ziemi polskiej.

Nie czas jeszcze dziś pisać o tych sprawach, nie pora ujawniać nazwiska i czyny. Ten sam okupant jeszcze zbrodniczą łapą ziemię kresowe dławi, najlepszych synów narodu tępi i niszczy.

Ale nie wolno bodaj w paru ogólnikowych słowach nie wspominać o wileńskiej młodzieży szkolnej. Te dzieci z taką naturalną prostotą podjęły rolę swych dziadów i ojców, z takim uporem trzymały się wszystkiego, co było symbolem Państwa Polskiego, tak bez wahania, biadania i szukania winnych oddały samorzutnie swe młode siły służbie Rzeczypospolitej, że ślepy chyba mógł tego nie dostrzec, a pobawiony mózgu i serca nie myśleć o nich z najwyższą czcią i wzruszeniem.

Działo się to w czasach, kiedy "realni politycy i przewidujący mężowie stanu" uratowawszy swe cenne głowy i walizki przed potopem zalewającym Rzeczpospolitą, bluzgali z rozgłośni francuskich sękiem kłamstw i po-

twarzy na polski rząd, polskie wojsko, na Polskę i wszystko co w Niej było najlepszego. A inni, niemniej "realni" patrioci, wtórowali im w gościnnych apartamentach propagandy moskiewskiej.

Cały "romantyzm" polski, wszystkie wyśmiane i lekceważone imponderabilia, to właśnie, co, przechowywane w głębokich nurtach podświadomości narodu pozwalało nam przetrwać 1½ wiekową niewolę i dało siłę i prężność do stworzenia odrodzonego państwa w 1918 roku, to wszystko pulsowało teraz żywą krwią w sercach tych "dzieciaków", młodzieży szkolnej Wilna.

Dzieci, żołnierz i ksiądz — stanowili wtedy ośrodek wiary i świadomej woli czynu. Wileńska zaś ulica była imponującym obrazem tego, jak głęboko wrosła tu Polska swemi najistotniejszymi na tych ziemiach, wartościami szerczytelki cywilizacji zachodniej, rzymskiej, chrześcijańskiej.

Nie potrafię wyrazić pogardy z jaką mówiła o nowych władcach przekupka wileńska, rezydująca przy straganie na placu łukiskim pani Albinowa. To ona stworzyła i powtarzała popularne w Wilnie w tych czasach powiedzenie: "pójdą lity na łeb zbity, jak wróble rozlecą się ruble, wróci polski złoty, jak nie będzie tej hołoty".

Chłop białoruski ze wsi doniedawna przez polskiego biurokrata za całkowicie skomunizowaną uznanej, — przyjeżdżał chyłkiem do Wilna, aby zasięgnąć języka i porady, jak się wybronić przed narzuconą mu przemocą szkołą rosyjską.

"Pany ratujcie!" — wołał z rozpaczą w oczach — "my nie chcemy ani moskiewskiej, ani innej, my chcemy szkoły polskiej!"

"Nie spolszczyli nas przez 20 lat starostowie, spolszczyli w trzy miesiące bolszewicy!" — głosił vox populi Białorusi. Istotnie bowiem te wszystkie dokuczliwe zgrzyty i tarcia, jakie wywoływały tępe koła maszyny biurokratycznej w zetknięciu z obywatelem, teraz znikły, rozwiały się jak mgiełka poranna pod uderzeniem niszczącej wichury wschodu. Ludzie polskich kresów wschodnich zrozumieli w tym nagłym przewrocie, że wszystko co stanowi istotę człowieka; obyczaj wierzenia, styl życia, — wszystko to w nich jest polskie, zachodnie.

Więc szukali wszystkiego, co dawało im nadzieję polskości powrotu.

Okupanci widzieli i odczuwali to na każdym kroku. Zdumieni i wściekli stosowali swe wypróbowane metody: areszty i masowe wywożenia.

Coraz więcej łapaczy i szpiclów, speców wybitnych ze wszystkich 17-tu

republik sowieckich zjeżdżało do Wilna. Coraz częściej po nocach buchały strzały: ich i nasze.

Wtedy to przyjrzałem się bliżej Żubrom kresowym; ich duszom prostym, bezkompromisowym, sercem gorącym a wiernym.

Tych, którzy ubyli, zastępowali natomiast inni i ciągnęło się dalej. A

ubywało ich coraz więcej. Coraz więcej dzielnych żołnierzy, przyjaciół niezawodnych znikają za bramą Łukiszek. Niektórzy z nich ocalili i walczą dziś dalej w szeregach Wojska Polskiego, wielu zginęło bez wieści i nigdy się nie dowiemy, gdzie kiedy śmierć męczeńską z rąk moskiewskich oprawców ponieśli...

Pewnej nocy zimowej zabrano Władysława Kamińskiego, zabrano "Tętę Rysia" i kilkunastu innych.

A w parę miesięcy później, kiedy kwitły nieśmiałe bzy i blade światło przedświtów różowiło ciche wody Wilji, załomotały kolby bojów i do moich drzwi...

LUDWIK BERGER

IM ROSJA SILNIEJSZA NA WSCHODZIE

Wpływy Sowietów w krajach Środkowego Wschodu są obecnie większe niż kiedykolwiek przedtem. Wpływy Sowietów w Europie wschodniej i Środkowej stają się obecnie większe, niż kiedykolwiek w dziejach Rosji i Europy. Zachodzi związek logiczny pomiędzy narastaniem pozycji państwa sowieckiego w krajach europejskich i w krajach pogranicza azjatycko-afrykańskiego, nazywanych Bliższym i Środkowym Wschodem. Polityk Rosji carskiej Skobelew oświadczył kiedyś, że **im większą siłę wykazuje Rosja w Azji Środkowo-wschodniej, tym ustępliwsza jest Wielka Brytania wobec Rosji na terenie Europy**. Skobelew rozumował słusznie. Zasięg siły rosyjskiej w tereny Azji centralnej prowadzi na południu do Indji Brytyjskich, a na południowym wschodzie do nafty perskiej i Suez, głównego wiązadła brytyjskiej konstrukcji imperjalnej. Dla zahamowania infiltracji rosyjskiej do głównego skarbcza brytyjskiego w Indjach i głównej brytyjskiej arterji komunikacyjnej w Kanale Suezkim, strzeżonej brzegami krajów Środkowego Wschodu, gotowa była i jest nadal polityka brytyjska do ustępstw w Europie. **Tak to kraje Środkowego Wschodu decydują o krajach Europy Środkowej i wschodniej**. Los narodów i państw żyjących nad Bałtykiem, wzdłuż Wisły i na zachodnich brzegach Morza Czarnego zależał w polityce brytyjskiej od oceny specjalistów, wpatrzonych w losy interesów Wielkiej Brytanji, w Persji, Egipcie i Palestynie. Lord Curzon, który w r. 1919 prosił o granicę wschodnią Polski, był specjalistą od problemów polityki perskiej. Jego sztandarowe trzechtomowe dzieło, które Anglicy zaliczają do klasycznej literatury politycznej nosi nazwę "Persja".

Od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r., a szczególnie od załamania się ofensywy niemieckiej pod Stalingradem, zaczęła polityka sowiecka synchronizować swe posunięcia obliczone na Europę z posunięciami dokonywanymi w krajach

Środkowego Wschodu. Początkowo korzystały Sowiety w krajach Środkowego Wschodu jedynie z możliwości infiltrowania literaturą propagandową. Z czasem literatura sowiecka przestała pojawiać się w arabskich krajach Środkowego Wschodu w tej liczbie, którą Sowiety przeznaczają dla czytelnika europejskiego czy amerykańskiego. Zaczęły się pojawiać książki i czasopisma w języku: arabskim, ormiańskim, kurdyjskim, hebrajskim i w innych. Jeszcze przed wysunięciem przez Sowiety jawnych aspiracji co do zasięgu ich strefy wpływów w Europie i przed konferencją teherańską — a więc przed naradą odbytą faktycznie w jednej ze stolic Środkowego Wschodu, puściły Sowiety w ruch kilkutorową działalność w krajach pogranicza azjatycko-afrykańskiego. Zaczęły więc działać **instrumenty sowieckich infiltracji: wewnętrznie polityczne** za pośred-

nictwem partji komunistycznych, związków kulturalnych i organizacji kościelnych. Zaczęły działać **instrumenty polityki zewnętrznej**, jak budzenie u różnych mniejszości narodowych w krajach Środkowego Wschodu tendencji do włączenia ich w obręb grup narodowych, znajdujących się w Związku sowieckim.

Stosunkowo dużo pisano w czasie ostatnim o tego rodzaju akcjach, rozwijanych przez Sowiety na terenie Persji, Iraku, Syrii, Libanu, Palestyny, Egiptu i Saud Arabji. Ale poszczególne akcje nie wiążą się między sobą jako jedna całość, nie obrazują wielkości dokonania sowieckiego na Środkowym Wschodzie. Szczególnie dużo pisano o kościele greko-ortodoksyjnym jako opanowanym przez Sowiety na skutek zunifikowania tego kościoła w Świętym Synodzie moskiewskim. Do faktu zunifikowania kościoła greko-ortodoksyjnego należy jednak dodać, że tą drogą państwo sowieckie weszło w posiadanie niezwykle poważnego majątku nieruchomego bczmała we wszystkich stolicach Środkowego Wschodu, że podporządkowało sobie tą drogą liczny kler greko-ortodoksyjny, setki szkół przyklasztornych, kościelnych i dawnych rosyjskich. Należy jeszcze dodać, że **religijny wpływ Sowietów bynajmniej nie ogranicza się do kościoła ortodoksyjnego**. Z powołaniem na sowieckie republiki muzułmańskie, stworzono w Sowietach **Naczelną Radę Muzułmanów**. Ta Naczelna Rada Mahometan Sowietkich poczyniła niebezsukteczne starania o wejście w bliski kontakt z władzami mahometaniskimi w naczelnej instytucji islamskiej, to jest uniwersytecie Al Azhar w Kairze i z ortodoksyjnym ugrupowaniem mahometan, któremu przoduje król Saud Arabji, Ibn Saud. — Właśnie sowiecka Naczelna Rada Muzułmańska potrafiła dla zaskarżenia sobie wdzięczności muzułmanów kairskich wysunąć projekt umiędzynarodowienia świętych miast Mekki i Medyny, leżących na terytorjum Królestwa Saudyjskiego na półwyspie

KUPUJCIE
KSIĄŻKĘ

ALEKSANDRA
JANTY

"I LIED TO LIVE"

Można dostać
u wydawcy

"ROY" PUBLISHERS

i we wszystkich
księgarniach

Cena \$2.75

arabskim. Ale gdy doszło do realnych rozmów na temat koncesji nartowyżen w obrębie ropośnych ziem półwyspu arabskiego, umiała Sowietka kada Muzułmanska zrezygnować z tych aspiracji i wygrać sympatje scarego Ibn Sauda przeciw młodemu królowi gipskiemu Farukowi.

Do bardzo skutecznych instrumentów działania sowieckiego należą, żeby tak powiedzieć, "kresowe sowieckie republiki azjatyckie". Wśród nich nadają się doskonale do gry politycznej republiki: armeńska, aserbejdżańska, tadzikistańska, kirgizka i kazakstańska. Każda z tych republik ma swoje mniejszości narodowe porzucane po różnych państwach Azji zachodniej, a nawet Afryki. Sami Ormianie mieszkają nie tylko w Persji wschodniej, nie tylko w Turcji południowej a częściowo środkowej, ale w Libanie, Syrii, Palestynie, a przy dobrej woli także i w Egipcie. Dlatego to mogła pisać prasa ormiańska kolportowana na Środkowym Wschodzie, że dopiero po wkroczeniu wojsk sowieckich do Persji północnej "uzyskała mniejszość ormiańska na terenie perskim wolność wyznaniową i kulturalną". W odniesieniu do Turcji może odegrać Republika Armeńska rolę o wiele dalej idącą. W 1921 r. podpisały sowiecka Armenja i Turcja traktat w Kars, przyznający Turcji miasta Erzerum i Trebizondę. Dziś twierdzi się coraz częściej, że są to miasta historyczne ormiańskie...

W Palestynie powstały w 1944 r. związki Ormian, z których dwa najgłośniejsze noszą nazwy: Liga Obrony Armenji Sowieckiej i Klub Młodzieży Armeńskiej. Podobne związki działają także i w innych krajach Środkowego Wschodu. Związki wspomnianego typu nie ograniczają się oczywiście tylko do Armeńczyków. I tak słychać od czasu do czasu, że Aserbejdżanie perscy tęsknią za przynależnością do sowieckiego Aserbejdżanu, że Kundowie perscy, iraccy i tureccy marzą o stworzeniu **niepodległej republiki kurdyjskiej**, która mieściłaby się z przyczyn zrozumiałych w Mossulu, odwiecznej kolebce narodu Kurdów, a równocześnie krajnie bogatej w złoża ropy naftowej.

Dalecy jesteśmy od choćby najbardziej ogólnikowego zaznaczenia wszystkich dróg, którymi toczy się infiltracja sowiecka na Środkowy Wschód. Poza wpływami wyznaniowymi, narodowościowymi i partyjnymi działają wpływy kulturalne i społeczno-charytatywne. Wielki wpływ wywierają tzw. "ligi". "Liga V" zajmuje się składaniem podarunków sanitarnych dla armji czerwonej. "Liga Przyjaciół Rosji Sowieckiej" ma filje we wszystkich bez wyjątku krajach i

środkowiskach nad brzegami Morza Śródziemnego. "Koło Przyjaciół Książki" zaleca czytanie odpowiednio dobranych książek, broszur i czasopism i to po wyjątkowo niskich cenach. A ponadto rozwijają ożywioną działalność w arabskich krajach Środkowego Wschodu zwolennicy "Wolnych Niemców", "Wolnych Austrjaków", "Wolnej Polski" i takiej samej Jugostawji. Wszyscy ci zwolennicy "wolnych" narodów Europy wschodniej i środkowej reprezentują poglądy przesuwaający linię wpływu sowieckie-

go w Europie tak daleko, jak daleko żąda tego europejska polityka sowiecka zsynchronizowana z sowiecką polityką na Środkowym Wschodzie.

Jeśli więc kiedyś, tylko czołowi politycy rosyjscy, jak Skobelew umieli łączyć pomiędzy sobą posunięcia na szachowym polu dokonywane ręką Moskwy raz w Europie, a raz na Środkowym Wschodzie, to dziś posunięcia te łączą zwyczajni Armeńczycy i prości Kundowie zsynchronizowani z "Wolnymi Niemcami" i polskimi "patriotami".



Przeciw nieczystościom cery

HELENA RUBINSTEIN słynna znawczyni wszelkich kwestji kultury ciała, pragnie dopomóc Wam do pozbycia się brzydkich skaz, szpecących Waszą cerę. Podaje Wam w tym celu trzy podstawowe preparaty dla osiągnięcia olśniewającej urody.

BEAUTY GRAINS—ziarnka piękności, drobne ziarnka rozpuszczające się przy delikatnym tarcu, usuwają powierzchowne nieczystości cery. — 50c. \$1.00.

"WATER LILY LOTION" wyjątkowo skuteczny płyn leczniczy przeciw podrażnionej cerze. \$2.00, \$3.00.

MEDICATED CREAM — Krem Leczniczy — nałożyć wieczorem na podrażnione miejsca i zostawić przez noc \$1.00.

HELENA RUBINSTEIN

Do nabycia we wszystkich większych sklepach

KRONIKA AMERYKAŃSKA

"Tygodnik Polski" mając na względzie swych czytelników żołnierzy polskich i ucieleźców i pamiętając o okolicznościach w jakich jest czytany postanowił szerzej rozwinąć "Kronikę Amerykańską", wiedząc, że Czytelnicy nasi szczególnie teraz dużo myślą i mówią o Polonii Amerykańskiej, na którą zwrócone są oczy całego narodu.

Zapewne i na ustach Waszych jest pytanie. "Co też robi teraz Polonia Amerykańska?" "Jak broni sprawy polskiej?" "Czy jest złączona czy też rozbita?" Takie pytania są naturalne i zrozumiałe, a wiemy, że przeciętny Polak mało wie o tej Polonii, o sześciu milionach Polaków w Ameryce. Przypuszczamy przeto, że kronika amerykańska zaspokoi ich ciekawość i spowoduje duchowe zbliżenie rozsiadanych po świecie Polaków z tą zwartą masą polską w Stanach Zjednoczonych. Kronika nasza pisana będzie przez starego i doświadczonego dziennikarza polskiego w Ameryce, a redagowana będzie pod znakiem założenia, że bardzo mało o Polonii wiecie.

ZIEMIA Z MONTE CASSINO

W Chicago znajduje się Muzeum i Archiwum Polonii, założone i finansowane przez Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katolickie. Jest to jedna z największych organizacji polskich w Stanach Zjednoczonych, posiadająca blisko dwieście tysięcy członków i wielomilionowy majątek. Założycielem i kustoszem Muzeum i Archiwum jest znany i zasłużony pisarz i dziennikarz polski, p. Mieczysław Haiman, autor wielu dzieł historycznych o Polonii w Ameryce. Dzięki jego mrówczej pracy mamy bogatą literaturę i wydobyte z archiwów dokumenty o udziale Polaków w postępie i historii Stanów Zjednoczonych.

W Muzeum tem znajdują się szkatuły zawierające ziemię z pola bitwy pod Grunwaldem, spod Racławic i Częstochowy, a ostatnio nadeszła i szkatułka zawierająca ziemię ze stoków Monte Cassino. Ziemia ta prześlaknięta jest krwią żołnierza polskiego i przechowywana jest przez Polonję amerykańską jako święta relikwia narodowa.

POMNIK JAGIELŁY

Polonia w New Yorku przygotowuje się do wielkiej manifestacji patriotycznej w dniu piętnastego lipca, w rocznicę bitwy pod Grunwaldem. W dniu tym odsłonięty zostanie w Parku Centralnym w New Yorku pomnik króla Jagiełły, dzieło St. Ostrowskiego z Warszawy. Pomnik ten wykona-

ny we Włoszech przywieziony został w r. 1939 do Stanów Zjednoczonych z okazji wystawy międzynarodowej w New Yorku i odsłonięty zostanie 15 lipca jako dar Polonii dla miasta New York. Prezydent New Yorku La Guardia jest członkiem honorowym Komitetu odsłonięcia tego pomnika, a wspomnieć wypada, że jestto jedyny dziś pomnik króla Jagiełły na świecie.

PRASA POLSKA W AMERYCE

Przypuszczamy, że interesuje Was stanowisko zajęte przez prasę polską w Ameryce. Przedewszystkiem kilka uwag informacyjnych: Mamy tu dziewięć dzienników i 56 tygodników i miesięczników wydawanych w języku polskim. Ogólna cyrkulacja prasy polskiej wynosi blisko milion czytelników, co jest bardzo poważną pozycją. Dodać do tego należy, że na 65 stacjach radiowych w Ameryce nadawane są polskie programy radiowe.

Prasę polską wiadomościami o Polsce i Polakach zasilają dwie, polskie agencje telegraficzne, mianowicie "olska Agencja Telegraficzna" i "Katolicka Agencja Prasowa". "Polpress" agencja Lublińskich, zarejestrowała się w urzędach jako filja moskiewskiej agencji "Tass". Żadne pismo polskie z wyjątkiem komunistycznego tygodnika w Detroit nie korzysta z wiadomości "Polpress'u" a prasa amerykańska zupełnie ją ignoruje.

Dziennikarze mają trzy organizacje dziennikarskie, jedną w Chicago, drugą w New Yorku, a trzecią w Buffalo. Wszystkie te organizacje złączone są w Zjednoczonej Prasie Polskiej w Ameryce, do której nie należy ani jeden komunista lub komunizujący dziennikarz. Na tem miejscu, w związku z wzmianką o prasie polskiej wypada chyba nadmienić, że w New Yorku jest kilka pism wydawanych przez "uchodźców" z Polski. Jednym z nich jest nasz "Tygodnik Polski", pozatem "Świt", miesięcznik wyda-

wany w języku angielskich przez uchodźców należących do PPS w kraju "Poland Fights", Katolicka Agencja rasowa wydaje w języku polskim i angielskim biuletyny informacyjne, Żydzi wydają swoje własne pisemka w języku polskim "Nasza Trybuna", pozatem Polskie Centrum Informacji, wydaje doskonałe broszurki pt. "Facts and Figures" a także pismo angielskie "Polish Review", o którym obszernie pisaliśmy i które ostatnio przeszło w ręce prywatne. Prawnicy i inżynierowie z Polski przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych publikują od czasu do czasu swoje miesięczniki fachowe i sprawozdania zawodowe. Uchodźcy polscy pozatem zasilają artykułami prasę polsko amerykańską.

Prasa polska w Ameryce dzielnie w 99 procent stoi przy rządzie polskim w Londynie i wytrwale broni sprawy Polski a nie ogranicza się do informowania czytelników swoich t. zn. Polaków, lecz bezustannie szturmuje i prasę amerykańską, żywo reagując na każdą akcję polityczną dla Polski szkodliwą. Mamy i w prasie amerykańskiej wielu wybitnych pisarzy, broniących stale praw Polski.

W następnej kronice podamy trochę wiadomości o akcji Polonii, w dziedzinie politycznej.

POTRZEBA CZYŚCICIELI

do dużego budynku biurowego.

Stała nocna praca. \$31 tygodniowo wraz z "overtime", również potrzeba pracowników na kilka godzin. Zwrócić się do superintendenta.

52 Wall Street, New York, N. Y.

BEZPŁATNE LETNIE WAKACJE

dla młodej pani i dzieci w zamian za parogodzinną pomoc przy dziecku.

Zgłoszenie:

Teł. RE 7-2462

ZNAKOMITY PISARZ AMERYKAŃSKI LOUIS BROMFIELD TAK MÓWI O NOWEJ KSIĄŻCE KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

"I have read "The Forgotten Battlefield" and was deeply moved by it. I think it is an excellent picture of Polish bravery and spirit which every American should read in order to understand the great tradition of Poland."

Żądajcie we wszystkich księgarniach i u wydawcy

"Roy Publishers" (25 West 45 St.)

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

"THE FORGOTTEN BATTLEFIELD"

z ilustracjami Zdzisława Czermańskiego

OPINJE I ZDARZENIA

DRUGI KORPUS A "TYGODNIK POLSKI"

W ostatnim doszłym nas numerze "Białego Orła", organu Drugiego Korpusu we Włoszech, czytamy takie oto słowa o naszym piśmie:

Każdy numer "Tygodnika Polskiego" z Nowego Jorku witany jest u nas we Włoszech z prawdziwą radością. Na każdy numer zawsze się składa aktualna, żywo podana treść, doskonała graficzna szata, interesujące zdjęcia.

Odciełość jaka dzieli Włochy od Stanów Zjednoczonych i związane z nią trudności porozumiewania się nie pozwalają nam oczywiście na jakies uzgadnianie poglądów. Z tym większym zadowoleniem przekonywujemy się obecnie, że stanowisko naszych przyjaciół jest naszym stanowiskiem, żeby tylko dla przykładu zacytować ich opinię o San Francisco z artykułu: "Rząd "polski" Mołotowa" — (Nr. 11 z b. r.).

"SUPER POLE"

Stulecie tak zasłużonej i popularnej "Cioci Imci" — która właśnie teraz jest szczególnie nieodstępną opiekunką żołnierza polskiego — jest zarazem świętem naszej wdzięczności dla pp. Pawłostwa Superów, kierowników długoletnich polskiej YMCA i przyjaciół niezawodnych naszego narodu.

Parokrotnie na tem miejscu mówiliśmy o ich zasługach dla naszej sprawy, podnosząc nietylko wartość ich pracy niezmondowanej ale przede wszystkim prawdziwie apostołskimi, czynny charakter ich przyjaźni do Polski której nie odstąpili w chwilach najgorszych, głosząc zawsze niefałszowaną prawdę o nas.

Tem serdeczniej przyłączamy się do najlepszych życzeń, które wszyscy Polacy, przesyłają teraz pp. Superom i które składano im na skromnej ale bardzo ciepłej uroczystości, zorganizowanej parę dni temu w sali konsulatu w Nowym Jorku przez "Koło Polskie".

Minister Strakacz, prof. Stojowski po angielsku, Stanisław Strzetelski po polsku od serca i gorąco mówili do pp. Superów to co czuje każdy żołnierz polski, każdy Polak, który się z pracą ich zetknął. Pan Super odpowiadał z prostoty i sentymentem, pani Superowa z wzruszającym ogniem — wśród doskonałych rzeczy, które powiedział prof. Stojowski znalazł się też pierwszej klasy kalambur. "Nie jest Pan dla nas Paul Super ale Super Pole".



Helena Morsztyn, której recital fortepianowy w Town Hall był gorąco oklaskiwany i miał bardzo dobrą prasę.

"WOLNE CZECHY"

Pan Benesz niedługo czekał na dowód, czym jest wolność, którą zdobył dla Czech za cenę zdradzenia Polski, odwrócenia się od Zachodu, pośpiesznego zgłoszenia się na pierwszego wasala Rosji.

W chwili, gdy t. zw. "prawowity i demokratyczny" rząd czeski zaczął urzędowanie w Koszycach pod opieką "bratnich słowiańskich Sowietów", w Londynie powstał Komitet "Wolnych Czech" z gen. Prchalą na czele, jednoczący wszystkich prawdziwych niepodległościowców czeskich i słowackich, rozumiejących, że kraj ich został po raz drugi przez tego samego pana Benesza oddany w niewolę.

Ten bratni ruch czeski witamy najserdeczniej, przekonani, że on właśnie wyraża to, co jest w duszy najlepszych Czechów, Czechów gotowych do walki a przez to godnych niepodległości.

Ton jakim pan Masaryk może mówili przemawia, to co mu się raz po raz w San Francisco "wrywa" — świadczyć się zdaje że nawet w ekipie pana Benesza niełatwo będzie zastosować się do tego stylu "ruki po szwam", który obowiązuje w stosunkach między Sowietami a wyzwolonymi przez nie "bratniemi" ludami.

JÓZEF CZAPSKI W LONDYNIE

Donoszą nam, że do Londynu przybył Józef Czapski, do niedawna major W. P., pracujący w Drugim Korpusie jako kierownik działu Wytwórczości i Prasy. Czapski, autor znanego listu otwartego do Maritaina i Mauriaca, autor wstrząsających "Wspomnień Starobielskich", znany z przedwojennych czasów, utalentowany malarz, znajdzie napewno na nowych placówkach, które zajmie, wiele możliwości działania. Człowiek, który przeszedł gehennę więzień rosyjskich, otarł się o Katyń, brał udział w daremnych poszukiwaniach zaginionych tysięcy oficerów polskich i poznał praktyki NKWD a potem szedł z odrodzonym wojskiem przez Włochy, wniesie z sobą do każdego środowiska wpływ jak najbardziej pożyteczny i bardzo tam potrzebny.

BIBLIOTEKA "ORLA BIAŁEGO"

Znakomity tygodnik Drugiego Korpusu "Orzeł Biały", wydał ostatnio w swojej bibliotece następujące książki: "Tajfun" J. Conrada-Korzeniowskiego, "Żołnierz z Monte Cassino" W. Ostrowskiego, "O powołaniu naszego pokolenia" Andrzeja Brzozy, i "Konstytucje Rzeczypospolitej Polskiej" z przedmową Ryszarda Piastowskiego.

SPRAWY POLSKIE W "HORN BOOK"

Marcowy i kwietniowy zeszyt znanego dwumiesięcznika "Horn Book", poświęconego czytelnictwu i bibliotekarstwu młodzieży — i powiedzmy jeszcze nawiasem — bardzo rozpozszechnionego wśród szkół i nauczycielstwa, nazwać możnaby polskim, tyle w nim ciekawego i pożytecznego materiału o Polsce.

Numer ten, przedstawiony czytelnikom w specjalnym wstępie, pióra redaktorki, Berthy E. Mahony, zaczyna się artykułem K. Wierzyńskiego pt. "The Voice of Polish Youth", w których autor nasz zaznajamia młodzież amerykańską z tem, co zdziałała młodzież polska podczas wojny, cytując wiele przykładów, między innymi szczególnie przejmujące z czasów postania warszawskiego. Artykuł opatrzonej jest czterema rysunkami Czermańskiego z książki Wierzyńskiego "The Forgotten Battlefield", także wstępna winieta numeru pochodzi z tego zbioru. Ceną wskazówką dla Amerykan jest wykaz książek amerykańskich o Polsce, dokonany przez J. B. Bernhard. Duże omówienie poświęcono polskim wydawni-

ctwom dla dzieci firmy Roy Publ. to znaczy pp. Kisterów, o których ciepłe i życzliwe słowa napisała p. Ethel Challenger Ince. Artykuł ten ozdobiony jest dwiema reprodukcjami winięt książkowych Ireny Lorentowicz.

Numer kosztuje 50 ct., adres wydawnictwa: The Horn Book, 248 Bylston St., Boston 16, Mass.

"BITWA O WARSZAWĘ"

Nakładem National Committee of Americans of Polish descent w Nowym Jorku ukazała się broszura Stanisława Strzetelskiego pt. "Bitwa o Warszawę". Jest to pierwsza próba przedstawienia powstania warszawskiego na podstawie dostępnych nam obecnie dokumentów, dająca wstrząsający i pełny obraz bohaterstwa stolicy polskiej. Szczęśliwie dni samotnej walki, która nawet w tej wojnie, prześcigającej ludzkę wyobraźnię, jest unikatem i nie ma sobie równych, przenawia z przedstawionych dokumentów i faktów tak silnie, że praca Strzetelskiego powinna znaleźć jak najwięcej czytelników i dotrzeć do rąk Polonji, gdzie tylko kto mówi i czyta po polsku. Książkę tą liczącą 144 strony ilustruje 16 zdjęć fotograficznych. Cena \$1.

PRASA ANGIELSKA O KSIĄŻCE MARIJ KUNCEWICZOWEJ

Wydana niedawno po angielsku powieść Marij Kuncewiczowej pt. "The Stranger", "Cudzoziemka" spotkała się z niezwykle życzliwym przyjęciem przez prasę angielską. Dotychczas ukazało się około 30 recenzji w najpoważniejszych pismach. Podajemy głosy niektórych z nich:

"Techniczne piękno tej powieści polega na pomysłowości, równowadze i nieustannej żywości z jaką przedstawiony jest denerwujący sprzeczny charakter (bohaterki). Niezwykle połączenie zdolności pozwoliło p. Kuncewiczowej na to dokonanie: jej poczucie śmieszności przeciwstawione tragedji, jej dowcip, ironja, jej upodobanie ludzkiej dziwaczności a przede wszystkim jej zdolność cierpienia z powodu i razem ze swą bohaterką. Jest to jedna z najbardziej uderzających powieści obcego pisarza, jaka ukazała się w języku angielskim" — ("The Listener").

"Z zakończeniem (książki), gdy magnes przestaje działać, czytelnik pozostaje bez tchu, lecz czując że nauczył się wiele o życiu". ("The Star")

"Observer", nawiązując do porównania w przedmowie Marij Kuncewiczowej z Giraudoux, pisze: "Podobieństwo jest wyraźne. Bystra, niezwykła inteligencja, wyczuć szczegółów, bezpośredniość w używaniu

zasadniczych kolorów są wspólne obójgu; ta historia mądrej i niemożliwej kobiety w przedwojennej Polsce jest fascynującym dziełem."

Życie Róży i zamęt jaki wywołała, ukazane zostały z siłą, patosem, czułością i humorem; dziwna, niezwykła i bardzo fascynująca powieść." — ("The Spectator").

"Książka trzyma bez przerwy uwagę w napięciu i jest wyjątkowo oszczędna: niektóre sceny są znakomicie zrobione. Jest to dzieło dojrzałego artysty." ("New Statesman and Nation")

"Marja Kuncewiczowa należy do najznakomitszych polskich pisarzy i wydanie "Cudzoziemki" pozwala brytyjskiemu czytelnikowi zorjentować się na jak mocnych podstawach opiera się jej sława." ("The Scotsman")

"Książka obfituje w psychologiczne skrót, które wykazują niezwykle zdolności autorki jako powieściopisarki." ("The Weekly Review")

"Książka, nie będąc w najmniejszej mierze powieścią polityczną niemniej

stanowi poważny wkład do problemu ponownego nawiązania stosunków tak pomiędzy narodami jak i poszczególnymi ludźmi, które musi nastąpić w powojennym okresie wzajemnego zbliżenia." ("Cavalcade").

Apolityczność książki podkreśla również "Reading Observer", który pisze: "Powieść jest wyraźnie niepolityczna. A jednak (bo taka jest magia sztuki) można nauczyć się z niej o polityce więcej niż z całego tuzina podręczników."

WIERSZE Z POLSKI PODZIEMNEJ PO ANGIELSKU

W Glasgowie, w Szkocji, ukazał się w scrji nazwanej "A Polish Library Pamphlet" zbiór wierszy pochodzących z Polski Podziemnej. Tłumaczenia dokonał Albert Mackie. Książeczka nosi tytuł: "A Call from Warsaw. An Anthology of Underground Warsaw poetry". Wydawnictwo ozdobione jest szeregiem ilustracji Józefa Sękalskiego.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Nicholas Copernicus A Tribute of Nations — Edited by St. Mierzwa — str. 268, plus 19.

Cele Wojenne Polski — Adam Praeger — Nakł. Oddział Kultury i Prasy II Korpusu, Włochy, 1945 — str. 176.

Manuscripts of Sophocles by Aleksander Turyn. An offprint from "Traditio" — Published by Cosmopolitan Science and Art Service Co., Inc. New York — str. 41.

Żołnierz z Monte Cassino — opracował Inż. Wiktor Ostrowski (album fotograficzne) Wydaw.: Oddział Kultury i Prasy LL Korp.

3 Dywizja Strzelców Karpackich w Italji (album fotograficzne) — cz. I. Wydaw.: Referat Kultury i Prasy 3 Dyw. Strzel. Karpackich. Luty 1944. — str. 78.

The Polish Digest — Rome — February 1945 — Polish Army Public Relations Branch — str. 115.

"Pobojowisko" — Kazimierz Wierzyński — ilustrował Zdzisław Czermański — Wyd. Roy Publishers, New York — str. 193.

Polonja w Ameryce — Dr. Karol Wachtl. nakład autora, Filadelfja, 1944 — str. 466.

Kresowa Walczy w Italji — opracował Lucjan Paff. Wydane przez Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Pichoty, Italia, 1945 — str. 255.

Bolszewizm i Religja — Władysław Kania — Rzym 1945 r. — str. 131.

Anglja i Polska w polityce europejskiej — Jan Szudrzyński. Wydawca: Wydział Popagandy i Kultury 3 Korpusu — Jerozolima 1945 r. — str. 283.

Anglja i Polska w Polityce europejskiej — Jan Szudrzyński. Wyd. Wydział Prasy i Kultury 3 Korpusu, Jerozolima 1945 rok. — Str. 283.

Rozmowa z Księżycem — poezje — Józef Żywina. Nakł. Oddział Kultury i Prop. II Korpusu — str. 51.

Prosta, jak sosna wyrosnąć — poezje — Jan Olechowski — przedmowa Włodzimierz Sznarbachowski. Biblioteka "Orla Białego". Wyd. Odd. Kult. i Prop. II Korpusu. — str. 36.

Pamiętniki Michała Mikołajewicza Murawiewa "Wieszatela" — 1863-1865. Tłumaczenie z oryginału rosyjskiego przez J. Cz... z przedmową St. Tarnowskiego. Wyd. Odd. Kultury i Prop. II Korpusu "Biblioteka Orla Białego" Włochy 1945. str. 148.

Gawędy Żołnierskie — Rok II, Zeszyt 2, Luty 1945. Wyd. Wydział Prac Kulturalno - Oświatowych Biura Opicki nad Żołnierzem Ministerstwa Obrony Narodowej. Londyn. Str. 32.